



Sport to zdrowie?

Sport to zdrowie, póki tata się nie dowie. To dziecięce powiedzonko z lat 70. odnosiło się do tanich papierosów marki Sport, jednocześnie czyniąc aluzję do lania, należącego dziecku przyłapanemu na paleniu. Dziś nie ma już papierosów o rozczulająco absurdalnej nazwie Sport, a dzieci się nie bije. Jest za to sport przez małe „s” oraz sportowcy przyłapywani na dopingu i karani zakazami udziału w zawodach. Z dawnej ideologii sportu pozostało już niewiele. A była taka piękna! Sport miał być szlachetną rywalizacją młodych, pięknych ludzi, wolną od wrogości i chciwości. Sportowe zmagania miały odnawiać naszą więź kulturową z jasną, apollińską Grecją, więc zaburzoną przez tysiąclecia brudnej propagandy, postponującej Grecję i Rzym jako „świat pogański”. Miało być czysto, dziarsko, humanistycznie i świecko.

Co więcej, sportowa rywalizacja miała posiadać moc terapeutyczną, kompensując i przepracowując konflikty międzynarodowe i animozje etniczne. Zamiast wojny – szlachetne zmagania i gra *fair play*. Wielka koleżeńska wspólnota sportowców miała stanowić wzorzec dla relacji między nacjami, rasami i grupami społecznymi. Zamiast nienawiści i wojny – przyjaźń i uczciwe współzawodnictwo. Sport wyczynowy stanowić miał zachętę do masowych ćwiczeń fizycznych, gdyż jak wiadomo „w zdrowym ciele, zdrowy duch” (a w chorym, jak się domyślamy, chory). Do tego jeszcze miał być sport pięknym uzupełnieniem eugeniki, ale o tym sza!

Co z tego wyszło, wiecie, więc posłuchajcie: sport stał się biznesem, sport stał się profesją, sport stał się narzędziem polityki, sport stał się okazją do manifestowania szowinizmu i wrogości, sport stał się niebezpieczny dla zdrowia sportowców. Właściwie z całego projektu „usportowienia” społeczeństw Zachodu tak naprawdę wypaliło tylko jedno – upowszechnienie sportu amatorskiego i rekreacyjnego. Jeśli żyjemy dziś prawie dwa razy dłużej niż przed epoką sportową, to dlatego, że mamy lodówki, mydło, nowe leki, mniej zainfekowaną żywność i wodę, a mieszczanie w dodatku zaczęli się ruszać. Sport i aktywna turystyka przyczyniły się do zredukowania zagrożeń zdrowotnych wynikających z gwałtownie rosnącej liczby ludzi niepracujących fizycznie. I ja za to sport, również ten wyczynowy, szanuję. Sam nawet grałem w pingla i się wspinałem, jakkolwiek wcześniej mi się odechciało.

Co do reszty, to cóż. Miło popatrzeć na radość medalistów, jeśli tylko na chwilę zapomina się o brudnym i brutalnym biznesie, zbyt często stojącym za olimpijskim widowiskiem. Jego częścią jest niemilośliwa eksploatacja zawodników, których skazuje się na kontuzje i choroby, aby tylko wycisnąć z nich nadludzkie rezultaty.

Nie wydaje mi się, aby doping był w tym zestawie szkodliwych oddziaływań na zdrowie sportowców akurat najgorszy. Zamiast bawić się w policjantów i złodziei, wy-

myślając coraz to nowe substancje „dopingujące” i coraz to nowe testy, pozwalające je wykrywać, lepiej byłoby to wszystko zalegalizować i uporządkować. Walka z wiatrakami tylko ośmiesza sport i zniechęca nas do jego oglądania. Sportowcy i tak nie są „naturalni” i nie ma wśród nich żadnej równości szans, bo trenują w bardzo różnych warunkach i mają bardzo nierówne budżety. Gdyby doping objąć legalizującą regulacją, łatwiej byłoby też kontrolować czarny rynek niebezpiecznych substancji i chronić młodzież przed dostępem do nich. Wiem, wiem, zaraz mnie zabijecie. Trudno, przeżyję.

Jedni wolą biegać, a inni pić. Związek sportowo-wojskowej dziarskości z rubaszną teźyzną dzieci Dionizosa jest sprawą zawiłą i tajemniczą. Jego studiowaniu oddaje się Rabelais w *Gargantui i Pantagruelu*. Gargantua raz jawi się olbrzymem i opojem, zdolnym pożreć stado krów i wychlać piwnicę wina, a innym razem okazuje się pięknym księciem, zaprawionym w zapasach, gonitwach i wszelkich innych sportach. Te dwa oblicza witalności najlepiej byłoby ściągnąć w jedno jakieś *mistrzostwo cielesności*. A i nie wolno by przy tym zapomnieć o mocy płciowej. Geniusz ciała i tak pięknie wcielonego ducha powinien być zaprzeczeniem wszelkiej jednostronności i specjalizacji, z jaką tak wyraźnie mamy do czynienia w sporcie.

Geniusza witalności poszukiwano od czasów starożytnych. Niestety, w żaden sposób nie da się go pomieścić w jednym ideale. Witalność i moc ludzka rozrastają się bowiem w różne strony. Od pięknego dyskobola do arcyplodnej macierzy; od gladiatora do suchotnika, który słabością ciała karmi swe poematy; od dzielnej amazonki do eterycznej nimfy. Małe z dużym, chude z grubym, zdrowe z chorym. Co je w końcu łączy? Moc zaprzęgnięcia własnej cielesności w rydwan ducha? A może tylko nieprzeciętność lub, poniekąd odwrotnie, doskonałe reprezentowanie określonego typu?

Cielesność ma to do siebie, że jednocześnie występuje jako zjawiskowa, zewnętrzna strona domniemanej niewidzialnej podmiotowości człowieka oraz jako zbiektywizowany podmiot, mający swoją materialną konkretność, a tym samym ukryte pod powierzchnią wewnętrze. Obaj – „duch” i „organizm” siedzą „w środku”. Reszta zaś to „powierzchność”, która człowieka osłania i odkrywa jednocześnie. Wygląd i motoryka, głos i mimika stają się jakby półprzepuszczalną błoną, na której osadzają się ulotne zjawiska osobowej tożsamości. Tylko tu, na powierzchni, a nie tam, w mrocznym środku, jestem sobą. Moje ja istnieje w psychofizycznym zjawisku, którego warunkiem jest doświadczenie go przez innych – oglądających moje ciało i jego poruszenia. Gdy jest to doświadczenie podziwu, jaźń doznaje osobliwej intensyfikacji. Oto i wielka tajemnica sportu.

Sportowcy i tak nie są „naturalni” i nie ma wśród nich żadnej równości szans.